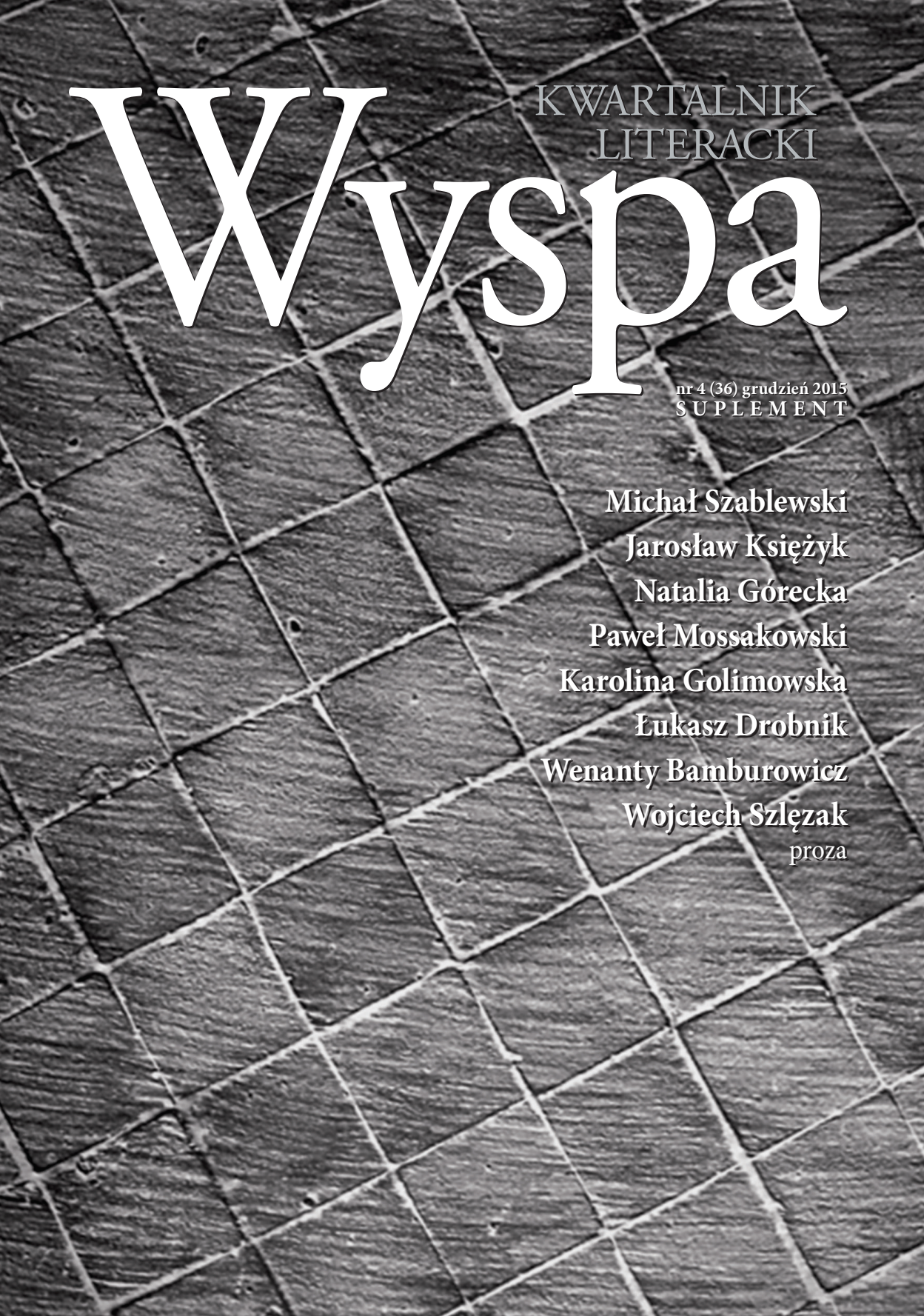


KWARTALNIK LITERACKI

Wyspa

nr 4 (36) grudzień 2015
SUPLEMENT

Michał Szablewski
Jarosław Księżyk
Natalia Górecka
Paweł Mossakowski
Karolina Golimowska
Łukasz Drobnik
Wenanty Bamburowicz
Wojciech Szlęzak
proza

Spis treści

Wyspa
KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 2083-7720

suplement do nr 4 (36) grudzień 2015

www.kwartalnikwyspa.pl

Adres redakcji: 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 6/8

Redaktor naczelny: Piotr Dobrołęcki
dobrolec@warman.com.pl

Sekretarz redakcji: Małgorzata Mostek
malgorzata.mostek@gmail.com,
wyspa@rynek-ksiazki.pl

Proza: Aleksandra Tetera (wyspa.tetera@poczta.fm),
Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński

Opracowanie plastyczne: Urszula Dulewicz

Ilustracja na okładce
Urszula Dulewicz

Opracowanie graficzne: Stanisław Małecki,
Grzegorz Zychowicz

Skład: TYPO Marek Ugorowski

Druk i oprawa: OZGraf
Olsztyńskie Zakłady Graficzne S.A.

Wydawca:
Biblioteka Analiz Sp. z o.o.
Prezes zarządu: Łukasz Gołębiewski

Biblioteka Analiz

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian. Prosimy o przesyłanie tekstów w formacie doc lub rtf o objętości do 30 tysięcy znaków ze spacjami w przypadku prozy i esejów oraz do 10 wierszy w przypadku poezji.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 801 205 555), a także przez stronę internetową Kwartalnika Literackiego WYSPA.

PROZA

Michał Szablewski
Gdzieś tam ... 3
Podwórko ... 10

Jarosław Księżyk
Zaufanie Czyni Dobrobyt ... 14

Natalia Górecka
Generał ... 26
Ryfka ... 32

Paweł Mossakowski
Na żywo ... 37

Karolina Golimowska
Pnin ... 48
Alarm ... 54

Łukasz Drobnik
wszystkożerność ... 58

Wenanty Bamburowicz
Pasja pucybuta ... 66

Wojciech Szlęzak
Schizofrenia ... 73

Nasi autorzy ... 79

Zrealizowano ze środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Teraz „Suplement trzeci”

Nasz archipelag składający się już z 36 kwartalnych „Wysp” i dwóch wysepek czyli „Suplementów” z lat 2013 i 2014 właśnie powiększa się o trzeci „Suplement”, co oczywiście sprawia nam wielką radość. Przed dwoma laty, kierując się sugestią jednego z przyjaciół naszego czasopisma, wpadliśmy na pomysł corocznego rozszerzenia Wyspowego Archipelagu o dodatkowy zeszyt, który zawiera ważne teksty, jakie trafiają do redakcji w ciągu roku, a nie wchodzą do „zwykłych” zeszytów.

Tym razem publikujemy tylko teksty prozatorskie, co wcale nie znaczy, że propozycji poetyckich nie otrzymujemy. Wręcz odwrotnie, jest ich sporo i to na wysokim poziomie, co z pewnością dostrzegają czytelnicy w kolejnych zeszytach „Wyspy”, gdzie jest ich najlepsze miejsce.

Żałujemy, że rozpoczętej w 2014 roku współpracy z Narodowym Centrum Kultury, pomimo optymistycznych zapowiedzi z początku tego roku, nie udało się kontynuować. Nie chcemy w tym miejscu wracać do trwającej od lat dyskusji o sensie wydawania czasopism literackich i o sposobach ich finansowania, ale oczekujemy, aby w końcu ich sytuacja została chociaż w miarę ustabilizowana, bo przecież wszyscy wiemy, że opiera się na energii i entuzjazmie często odjechanych (pozytywnie!) osób, którzy jednak dobrze wiedzą, jakie znaczenie dla szeroko rozumianej kultury mają takie zjawiska. Myślimy o przyszłości zawsze z obawą, bo nigdy nie wiadomo jak długo będziemy jeszcze istnieć jako tytuł. I dotyczy to nie tylko „Wyspy”, ale wszystkich podobnych inicjatyw.

Radością napawa nas jednak fakt, że kończymy już dziewiąty rok „Wyspy”. Niech to będzie okazja do przypomnienia, że kształt tego pisma stworzył jako redaktor naczelny Marek Ławrynowicz, a formę graficzną Dorota Suwalska. Trzymamy się stale ich założeń programowych, w czym swój wielki udział ma Katarzyna Bieńkowska, trzymająca wysoko poprzeczkę tekstów poetyckich, a także Adrian Sinkowski, który był następcą pierwszego redaktora naczelnego, jak też Małgorzatę Mostek, niezmordowaną sekretarz redakcji. Bardzo znaczący wpływ na kształt pisma ma Wojciech Kaliszewski, jak też Rafał Wojasiński i Małgorzata Karolina Piekarska oraz Urszula Dulewicz, wspaniale tworząca oprawę graficzną. Z końcem tego roku z redakcji odeszła Aleksandra Tetera, pilnująca poziomu w dziale prozy, a wcześniej jeszcze Magda Wojak, która kierowała działem recenzji. Wielkim skarbem „Wyspy” jest kwartet naszych felietonistów, w skład którego wchodzą: Jerzy Górzański, Piotr Wojciechowski, Karol Maliszewski i Mirosław Bańka. Dodajmy jeszcze Lillę Latus, redaktorkę „Kroniki regionalnej”, a także świetne studio Joli i Marka Ugorowskich z Anią Wojdą, która składa nasze teksty, oraz korektorkę Joannę Ożóg, jak też zawsze przychylne Olsztyńskie Zakłady Graficzne OZGraf i wszystkich sponsorów papieru na druk „Wyspy”. Wszystkim bardzo dziękujemy właśnie za entuzjazm i zapał, a także za wiedzę i profesjonalizm, bez czego nie można tworzyć przedsięwzięć kulturalnych.

Piotr Dobrołęcki

Michał Szablewski

Gdzieś tam

Gdzieś tam – za drzewami, była posiadłość Hendersona. Wszystkiego był dom, dwie szopy, stodoła, garaż, zbiornik na wodę i płotem wydzielona przestrzeń dla koni. Koni za dużo to już nie było. Najlepsze musiał sprzedać, gdy z miasta odeszli górnicy, wierni klienci prowadzonej przez niego restauracji. Syn jego, Franz, szwendał się potem ze smutną miną ze trzy, cztery tygodnie.

Panie, jak on uwielbiał ujarzmiać konie. Godzinami obstawiał barierki i wkręcał wzrok w najbardziej niepokorne ogiery. Pobudzony historyjkami z dzikiego zachodu wybierał te czarne, największe. Jak już sobie jakiegoś upatrzył, to nie było zmiłuj. Mielił lasso w łapach aż mu knykcie bielały. Błysk w tych jego ślepiach widziałem nawet tutaj – w zaroślach, gdzie spędzałem długie dni, lata i miesiące, obserwując Hendersonów.

No właśnie, Hendersonów, bo kilku ich było. Starego, mamę Sissy, Franza i dwie dziewczyny – Josephine i Lilly. Jak można tak skrajnie różnie nazwać swoje córki? Obie weszły w swoje role: Josephine zawsze siedziała na werandzie, czytając książki, a Lilly, cała umorusana błotem, biegała przez pola; gdy trochę podrosła, dawała się obmacywać chłopcom za szopą.

Stary Henderson, gdy tylko trochę sobie wypił, miał pewien nieznośny nawyk. Widywałem to często: wsiadał do swojego niebieskiego pick up-a, Forda F-setki, wyjeżdżał w stronę lasu, łapał pobocza, zaliczając zderzakiem drzewa i krzewy. Samochód poobijany miał niemiłosiernie; farba w wielu miejscach totalnie już odeszła – a właśnie ślady niebieskiego lakieru wypatrzyłem na drzewie, u stóp którego leżało zimne ciało córki O'Briena.

Tamto chłodne popołudnie pamiętam doskonale. Ciało znalazł przypadkowy myśliwy. Kiedy zajechałem na miejsce rozlatującą się Crown Victorią, jako pierwszy podszedłem do trupa. Przyłożyłem dłoń do policzka, chcąc ocenić, jak bardzo jest zimna. Patrzyła się na mnie otwartymi oczami, a gdzieniegdzie tliły się jeszcze w powietrzu jej dogasające powoli marzenia. Piękna, młoda, martwa kobieta, z ulatniającą się pełnią życia i radości. Dużo wtedy piłem. Na miejscu byli gapie, więc musiałem schować się za drzewem, żeby móc pociągnąć z piersiówki. Wtedy spostrzegłem tę wstęgę lakieru.

Nazajutrz, gdy przytargaliśmy Hendersona na posterunek, miał doskonałe alibi. Pięć osób widziało go dzień wcześniej na targach klaczy w Santiso. Skurwysyny zeznają wszystko za flaszkę dobrej whiskey, a ten wyczarował jeszcze kwity za parking, rachunki ze stacji benzynowej i hotelu. Przygotował się dobrze, to mu przyznam. Po dwóch miesiącach wszystkie ślady były już martwe i biuro postanowiło umorzyć śledztwo.

Ale ja wiedziałem swoje. Wiedziałem, że to ten pijany skurwiel, stary koniojebca, spasły knur, że to on i że to te jego wielkie spocone łapska zostawiły czerwoną pręgę na szyi młodziutkiej Mary O'Brien. Każdą wolną chwilę spędzałem więc na pagórku, skąd miałem dobry ogląd jego gospodarstwa. Dorobek jego życia, powód do dumy. Niedoczekanie, powtarzałem sobie, niedoczekanie.

Rozmyślania i wspominki przerwał mi sam Henderson. Wyjechał swoją półciężarówką na szutrową drogę. Popędziłem w dół wzgórza. Wskoczyłem w siodło Nancy i powoli puściłem się przez las, utrzymując go w zasięgu wzroku. Mógłbym dopaść go już teraz, dowalić karę za prowadzenie pod wpływem. Ale to byłoby tylko połowiczne zwycięstwo. Długo by nie posiedział za coś, co nie było w tych stronach niczym niespotykanym. Jak tak sobie o tym pomyślałem to zaciekawiło mnie, czy wolno mi tego konia prowadzić pod wpływem. Wstyd przyznać, po tylu latach w policji, nie wiedziałem.

Była jeszcze jedna rzecz. Henderson wiedział, że odebrali mi odznakę i że mogę mu skoczyć. Zawsze mogłem sam wymierzyć sprawiedliwość; nie mogłem jednak ignorować jego Smith & Wesson 686.

Poza tym zależało mi na czym innym. Chciałem, żeby jego dzieci widziały, jak prowadzę go w lśniących kajdankach, w srebrnych obrączkach, jak przegląda się w nich piękne słońce Nowego Meksyku, jak całe miasto lży go i jak pluje mu w twarz, jak kopie go po łydkach, a on spocony, on brudny, on upadły, chowa się przed uderzeniami; ale tu, spójrzcie, cała trójka jego dzieci zapłakana, przytulana, to przecież nie ich wina, dziewczynki patrzą na niego z obrzydzeniem, a mama Sissy już znajduje pocieszenie w czyichś ramionach, czyich nie wiem, może Sammy'ego, to przecież uczciwy facet i porządny mechanik. Och, jak bardzo chciałem widzieć minę Hendersona tuż przed tym, jak otwiera się zapadnia. Pokazałbym mu wówczas zdjęcie jasnowłosej Mary.

Musiałem więc być cierpliwy. Póki co kierował się ustaloną trasą; musiał dzisiaj poprzestać na piwach. Gdy w wozie walała się jeszcze butelka po whiskey, tracił lusterka i zatrzymywał się, aby wymiotować. Wówczas nadążałem za nim na piechotę, konia prowadząc za wodze. Dziś jechał w miarę sprawnie, kilka razy popędziłem nawet Nancy. Przed wzgórzem księżycowym skręcił w lewo i dojechał nad jezioro. Tak jak zawsze.

Zaparkował, wyłączył silnik i przysiadł nad wodą. Jebany, rzucał kamykami i patrzył w księżyc. Romantyk pierdolony. Ciekawe jak zbajerował Mary. Wygadany to on był, pachnący, zawsze ze świeżymi ubraniami. I ten gest. Darmowe posiłki dla najbiedniejszych w jego pięknej knajpie! W tym dla starego O'Briena. I na to ją na pewno zanęcił. Przywiązałem wodze i czekałem. Setki razy obserwowałem już jak pali papierosy, pisze coś na kartce, dopija butelkę i wraca do domu. Słodki Boże, jak irytował mnie ten człowiek! Ale w końcu popełni błąd. Na pewno.

Nazajutrz, nie zniechęcony jego wczorajszym spokojnym powrotem, rozłożyłem się znów w moich zaroślach. Do Lilly przyjechała koleżanka, przywiózł ją jej ojciec i odjechał. A przecież tyle razy mówiłem, wszystkim w mieście mówiłem, że Henderson to niebezpieczny człowiek! Weszły na piętro, zapaliły światło w jej pokoju. Powoli wszystko zamierało, a stary dziś chyba wyjątkowo nie planował wycieczki nad jezioro.

Życie sobie burak urozmaica. Nancy cicho zarżała. Pogłaskałem ją po pysku i dałem kostkę cukru. Była po nim trochę niespokojna, ale co, spokojny koń to nudny koń. Przez lornetkę obserwowałem przez okno Lilly i jej koleżankę. Nie znałem jej, ale bardzo przypominała mi Mary. Miała takie same, długie kręcone włosy. Taką samą lekko przydługawą, porcelanową, delikatną, kruchą i łamliwą szyję. Podobnie jak ona była niewysoka i drobniutka jak wygłodzony ptaszek. Tak samo żywiołowo gestykulowała, he he, mała trzpiotka. Nawet sukienkę miała podobną, taką w biało-zielone kwiaty na czarnym materiale… Serce skręcało mi się z bólu!

Tego wieczora już miałem odjeżdżać, kiedy Henderson wyszedł na werandę. Prawie bym go przegapił, ale debil przypalił papierosa i okazał mi się w pełnej krasie. Jak zwykle był nieuważny. Czerwony żar poruszał się miarowo w górę i w dół, dupek musiał huśtać się w bujanym fotelu. Miał facet tupet. Zabił młodą kobietę, kto wie czy jedną, a teraz jak gdyby nigdy nic raczy się urokami wiosennego wieczora. Już ty uważaj stary zboku. Jeszcze ci pokażę!

I wtedy stało się to, na co tak długo czekałem. Okazja. A co czyni okazja? Okazja czyni Hendersona skazanym na śmierć! Nad drzwiami wejściowymi zapaliła się lampka. To nieznajoma wyszła na zewnątrz. Na lekko rozchwianych nogach, owinięta w ciepły pled.

Musiały z Lilly trochę podpić. Niespecjalnie mnie to zdziwiło, zapijaczone drzewo nie może wydać trzeźwych owoców. Jaki ojciec, taka córka, wyssała alkohol z mlekiem matki, ble ble ble. Josephine – ona była inna. W ogóle była trochę walnięta. Nigdy nie zapraszała koleżanek, a wiem, co mówię, bo jestem tu dzień w dzień. Może to i lepiej. Zanudziłaby je na śmierć tym swoim szydełkowaniem i mielibyśmy dwóch morderców pod jednym dachem.

Henderson przywołał do siebie ręką koleżankę Lilly. Podeszła i usiadła na ławeczce usadowionej tuż obok bujanego fotela, na skraju werandy. Swoją drogą oparcie ławki było luźne, dawno już powinien był dokręcić śruby po lewej stronie. Ale taki to o nic nie zadba. Rozmawiali chwilę. Z wielkich okręgów tworzonych przez żar papierosa wnioskowałem, że coś pokazuje. Chory człowiek, z pewnością opowiadał jej o jakichś lubieżnych rzeczach. Wykorzystywał fakt, że była totalnie pijana. Po chwili zniknął w domu.

Tylko na chwilę.

Z gitarą. Kutas wyszedł z gitarą. Szedł prosto do auta. Dziewczyna ruszyła posłusznie za nim. Serce rozpędziło mi się jak pociąg towarowy. To mogła być ta chwila. Poprawiłem swojego Colta Gold Cup i wskoczyłem na Nancy. Popędziłem do szutrowej drogi i dalej galopem. Przecież wiedziałem dokąd jedzie. Gdy dobrze idzie, zwierzęta nie zmieniają swoich terytoriów łownych. Henderson z pewnością był zaś drapieżnikiem o bardzo uśpionej czujności.

Przywiązałem Nancy do drzewa niedaleko trzcin. Wyprzedziłem ich o kilka długości. Miałem więc chwilę, aby dobrze zakamuflować się przy brzegu. Minęło trochę minut, potem jeszcze więcej. Zacząłem zastanawiać się, czy na pewno przyjadą. Może

wsiedli do auta, a Henderson był zbyt pijany, żeby ruszyć? Może rzucił się na nią od razu, tuż pod domem?

Oj, nie doceniłem go. Spomiędzy drzew, jakieś dwa metry od drogi, wyjechał niebieski Ford. No, dzisiaj to przeszedł sam siebie. Rajd Monte Carlo sobie uskutecznił. Na odcinku specjalnym, przez las, rozsypała się w proch przednia szyba i lewy reflektor. Najwyraźniej szalenie ich to bawiło, bo dziewczyna – rechocząc – wysiadła przodem, przez otwór po zbitej szybie. Wśród śmiechów, gwaru i obopólnej szczęśliwości, doczłapali się nad brzeg i tamże usiedli.

Panie dobrodzieju, jak on bełkotał! Nie mogłem zrozumieć, o czym rozmawiają. Przeszkadzała mi też nieco trzcina, którą ciasno okryłem głowę. Byłem tak blisko, co by go wreszcie dojebać… Musiałem przysunąć się jeszcze trochę. Lewą połową ciała byłem cały w jeziorze. Poruszałem się cichutko jak wąż, jak węgorz, jak wodny pająk; zwinnie jak krokodyl podpełzłem pod ich siedlisko.

– A teraz pozwól, że tobie zaśpiewam – i rzeczywiście podniósł gitarę. Najpierw sprawdził kilka strun, a potem zaczął grać. Bardzo ładnie grać. Na rzewnych strunach miłej sercu melancholii.

Caroline, I watch you in my dreams
You're riding on your bike
along the maple trees
Caroline, I see you in my church
You're praying to the God
asking for the change
Caroline, I see you with your friend
You're drinking till the end
there's nothing to amend

Nie wiem, o co tutaj chodziło. Dziewczyna wyglądała na oczarowaną. Kiedy skończył grać, to siedziała z zeszklonymi oczami i rozdziawioną buźką. Mnie ten psychol nie nabierze. Ciekawe, jaką piosenkę zaśpiewał Mary. Pewno jakiś smutny standard country, ona lubiła przecież bardzo. Tak ładnie potrafiła tańczyć, tak kobieco, tak niewinnie…

Henderson odłożył gitarę i przysunął się zdecydowanie do młódki. Zaczęli się całować. Wskoczyła na niego okrakiem i objęła obiema dłońmi jego twarz. Przesuwał mocno rękoma po jej udach i pośladkach, bardziej skupiając się na tych ostatnich. Ściskał je i miętosił swoimi grubymi paluchami.

Nie wiedziałem, czy wejść już teraz, czy poczekać jeszcze chwilę, popatrzeć… Ale stary pierdziel ewidentnie chciał ją skrzywdzić! Boże mój… Kiedy jej twarz schowała się pomiędzy zlepionymi włosami i jego wszędobylskimi łapami, nie mogłem odróżnić jej od Mary. Widziałem ją, ten zimny trup mi naraz odżył i stanął przed oczyma i serce mi stanęło też naraz i ręce mi zdrętwiały prawie całkiem. Odzyskawszy odrobinę rezon, odbezpieczyłem Colta. I właśnie w tym momencie głośno zarżała Nancy. Cukier. Wszystko przez ten jebany cukier.

Spłoszyli się jak wróbelki przestraszone złamaną gałązką. Ona z niego zeszła, on otrzepywał nerwowo ubranie. „Przepraszam" powiedział, na co ona „Co to było?", „Nie wiem, pojedźmy już do domu" odparł. I jak gdyby nigdy nic udali się do samochodu i ruszyli z powrotem.

Prowadził zaskakująco pewnie, jakby nagle wyparował z niego cały alkohol. Czy to tylko wystudzone emocje czy też niepostrzeżenie wciągnął koks? Czy to możliwe, że tego nie zauważyłem? Tak, kiedy odwróciłem wzrok, żeby skarcić konia, wtedy na pewno niepostrzeżenie wciągnął zawczasu przygotowaną kreseczkę, przywracającą mu zdolność psychoruchową!

Zupełnie zniknęli mi z pola widzenia. Durny koń! Chociaż, kto wie. Może ocalił jej życie? Nigdy nie widziałem Hendersona podczas strzelania. Co jeśli to jakiś pieprzony Billie the Kid? Pojechałem już prostu do domu. Znowu się nie udało… Jutro spróbuję szczęścia jeszcze raz.

Nazajutrz przyjechałem dopiero około południa. Chciałbym móc wytłumaczyć to inaczej, prawda jest jednak taka, że wczoraj po powrocie do domu solidnie się spiłem i nie wstałem tak wcześnie jak zwykle. Było mi wstyd, bo naprawdę starałem się mniej pić; wzrok miałem więc raczej spuszczony.

Chociaż, co za różnica, skoro z ludźmi to nie za bardzo miałem już do czynienia. Wiem, co o mnie mówili. Nie obchodziło mnie to, byłem pewien, że jeszcze wszyscy mnie przeproszą. Będę kiedyś znów poważany, kto wie, może nawet przywrócą mnie na stanowisko? Przestanę spotykać te kaprawe ryje gości od alimentów. Żona nie będzie już mówiła mi tych wszystkich przykrych słów. Znów z nią zamieszkam i postrzelamy sobie z synem. Mam nadzieję, że ta zołza nie zabrała mu półautomatycznego Browninga kaliber 5.6 mm, cała jebana nagroda świąteczna poszła na tę strzelbę.

Tego dnia na farmę Hendersonów zajechałem tak jak zawsze, od tyłu. Przywiązałem wodze do kołka wbitego przeze mnie w ziemię dość dawno temu. Rozłożyłem koc na małym drewnianym podeście, który oporządziłem sobie kiedyś między zaroślami. Wyjąłem z futerału lornetkę i rozłożyłem się wygodnie. Kurwa jego mać. Bolała mnie głowa i wciąż musiałem przymykać prawe oko. Zawsze na kacu przymykałem prawe oko. Może dlatego chybiłem kiedyś tę piękną łanię, największą sztukę rocznika 84 w całym hrabstwie? Celować lewym okiem z rozedrganymi dłońmi – to się nie mogło udać. Nie muszę chyba mówić, kto ją upolował w dwa dni później? Czyje zdjęcie ukazało się w lokalnej gazecie? Tego samego jebanego Hendersona, który teraz właśnie wychodzi na podjazd, ubrany w swoją skórzaną kurtkę, z pięknym niebieskim szalem i płócienną torbą w ręce. Tego samego Hendersona, wsiadającego teraz do czarnego Camaro, które podjechało pod jego dom.

Pojechał w długą. A więc na dziś mam fajrant. Zdążyłem schować lornetkę do futerału, kiedy z domu wyszła Caroline – bo chyba tak miała na imię, inaczej by przecież bajerant tak do niej nie śpiewał. Ubrana była w dopasowane jeansy, przykrótką koszulę flanelową i niskie kowbojskie buty. Wyglądała bardzo seksownie… Chciałem zganić